

Tyle jasnych świetlanych chwil, tyle wspomnień niezatartych, — a nadewszystko ta szczerą, serdeczną przyjaźń, której wielkiej, wartości w życiu niedoceniamy nieraz. Nie obcem nam było życie harcerskie stałe, lecz nowe środowisko, nowe warunki i ludzie dotąd nieznani, wszystko to razem dawało pole łatwej obserwacji i wielką ilość spostrzeżeń. Rzeczą uderzającą na pierwszy rzut oka była nadzwyczajna wesołość i swoboda, przy ścisłej dyscyplinie i wzorowej karności. Życie nasze było również stwierdzeniem, że prawo harcerskie, to nie czcza formułka, lecz norma życia i postępowania wielu jednostek; zwłaszcza braterstwo harcerskie stało się dla nas zasadą nieodłączną, dzięki czemu właśnie czuliśmy się wszystkie na kursie jak wśród najserdeczniejszej rodziny.

Od pierwszego już dnia zaczęła się dokładna, systematyczna praca. Plan dnia, opracowany zawsze bardzo starannie, a ogłaszany przy codziennej odprawie, był zwykłe dość urozmaicony...

Więc ćwiczenia w terenie, wykłady, gimnastyka, przyroda — naprzemian z teorią gimnastyki, sygnalizacji lub kartografii. Najmilszą jednak atrakcją były wykłady o obozowaniu. Prowadzone bardzo starannie i dokładnie, dawały szereg wiadomości, niezbędnych do życia w polu. Cóż mówić dopiero o owej sławnej wyprawie na dwudniową wycieczkę kursu, w celu praktycznego zaznajomienia się z obozowaniem w której brało udział i nasze „kakao.“ O wyprawie innym razem opowiem, teraz zaś należałoby wytłumaczyć, co to jest „kakao“ (myślicie pewnie, że amerykańskie?). K. K. O., czyli kierownictwo kursu, jest to kilka osób, które — tak rękoma, jak głową, najwięcej na kursie pracują. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że to są ludzie poważni lub surowi; przeciwnie — wszelkie najoryginalniejsze pomysły i dowcipy powstawały zawsze w ich głowach. Wspomnieć wystarczy na przykład „zwarjowane kółeczko“ inaczej „krzeselkiem“ zwane — kręcące się w takt cygańskiej muzyki druhny Jagi. Wyliczać by można tysiące — a kto chce się przekonać o tem, niech na drugi rok jedzie na kurs. Prócz wielkiego zapasu wiadomości technicznych, wyniesie głębokie przeświadczenie, że harcerce, czy harcerzowi nic tak nie odpowiada, jak nasze własne, serdeczne środowisko.

RYCZĄCY BAWÓŁ.

(Ciąg dalszy).

Zawrócił ogiera i pognął z powrotem. Ale już go dojrżeli. Okrzyk zdumienia i wściekłości targnął powietrzem i zamarł we mgłach. Pochyliły się na kulbakach grzbiety, lunęły płomienie wystrzałów i zaczął się pościg szalony.

Szalona, zapamiętała jazda w dziewiczym lesie... Rzą konie, huczą wystrzały, rozdzierając mgłę ogniem błyskawic, wrzask dziki to wzmacnia się, to cichnie. — Wypadli na prerję. Ściśle rumaki biorą pęd największy. W mózgach rozszałych zwierząt jedna żądzą, jedno

pragnienie: gnać, lecieć jak arkan, jak tornado, dopędzać i przegonić.

A tam, w górze dźwigają się w niebo majestatyczne, nieruchome góry. Mgły leniwie wiją się po nich, jak białe, ziemne gady... Lasy szumią, szumią...

Dziesiąty już dzień trwała gonitwa na śmierć i życie. Wojownicy zmienili się w żelazo i piorun, w lwa i panterę. Ryczący Bawół mija doliny i górskie pasma, kryje się w wąwozach, odstrzeliwa drapieżnym napastnikom, codziennie w innych zasadzkach, podejściach i pościgach. Chytróść ma na chytróść, męstwo na męstwo, okrucieństwo i dzikość na okrutnego wroga. Odnajduje w mózgu pomysły i wybiegi, na jakie tylko w śmiertelnym niebezpieczeństwie umysł Indjanina zdobyć się może. Mięśnie stężały mu na kamień i stal, myśl t instynkt wyostrzyły się, jak klinga noża, siły organiczne napięły się, jak cięciwa łuku. W nieustannym niebezpieczeństwie odnalazł w sobie węż kanadyjskiego wilka — wzrok orła i czujność jelenia. Zaznał rozkoszy jazdy po stepie, gdy wichur tamuje oddech, kule świszczą koło głowy, a lęk pierwotny, radosny, niesamowity chwyta za gardło pętlicą. Zaznał zawrotnej jazdy po nurtach rzecznych na lotnem „kanoe“ i kilku godzin, długich jak stulecie, spędzonych w zasadzce. Rany serdeczne, rany krwawiące wiązał szmatą i opatrunki zakładał z kory drzewnej. I głód mu jątrzył wnętrza i paliło pragnienie, piekło żar południa i trzęsły febrą mroźne noce. Aż przybył do rozległych puszczy stanu Arkansas i tu postanowił stoczyć walkę na śmierć i życie.

Przywiązał konia do drzewa, ogłędnał nabita rusznicę i długi nóż myśliwski pracowicie wyostrzył...

Oczy błyszczały mu przy tem, jak dwa płomyki na zczerniałej, spalonej wichrami twarzy. Cały przemienił się w słuch. Bywajcie psy Komanczów!

Szelest w gałęziach tarniny. Młode świerczki poruszyły się i chwieją gałązkami. Nieprzyjacieli...

Niedźwiedź patrzył bardzo ciekawie na człowieka. Odchylił łapą gałęzie i obserwował dziwne stworzenie stojące przed nim, mrugając przytem szelmowsko małemi oczkami. Ruda, szara mordą, o okrutnych, wydłużonych szczękach kiwała się, jak u starca. Kosmate piersi, szerokie jak złom skalny oddechały ciężko...

Potworny, zwierzęcy lęk zdławił na chwilę duszę Indjanina. Oddech zamarł z trwogi. Żrenice rozszerzone patrzyły w oczy bestji... Ale nagle drgnął Ryczący Bawół, przyłożył broń do oka i wypalił. Piorun gruchnął z lufy rusznicy. Niedźwiedź zacharczał i włochatą cielskiem spadł na zuchwalca. Gruba, ciemna łapa, wagi cetnara zawisła nad czaszką człowieka.

Ale ten zwinął się jak puma i z romachem wpruł nóż myśliwski między żebra potwora.

(Dokończenie nastąpi).